

Stanisław Smolka

UNIA LITWY  
Z KORONĄ

Stanisław Smolka

UNIA LITWY  
Z KORONĄ

Armoryka  
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Reprint wydania:  
UNIA LITWY Z KORONĄ  
napisał  
Stanisław Smolka  
Kraków 1903

Copyright © 2019 by Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo ARMORYKA  
ul. Krucza 16  
27-600 Sandomierz  
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-682-7

## I.

Bolesław Chrobry staje przed wyobraźnią naszą w postaci rycerza-zdobywcy, wyszczerbiającego miecz o Złotą Bramę Kijowa; Kazimierz Wielki z księgą ustaw wiślickich w ręce, w poczeie panów, biskupów i rycerstwa, w gronie mężów, w które powolną a żelazną pracą wlał swoją mądrość; Zygmunt August, Batory i Sobieski, jak ich wymalował Matejko, w Lublinie, w dniu dokonanej Unii; pod Pskowem, przed korzącem się poselstwem złamanej, wrogiej potęgi, i u bram Wiednia, z trofeami walki, przeznaczonemi tam, z kąd płynęło natchnienie, wiodące króla-bohatera twardą drogą świętego obowiązku wśród grząskich manowców współczesnej dyplomacji.

Któraż chwila w krótkim życiu królowej Jadwigi oświeci nam jej postać tak żywo i tak spokojnie zarazem, żeby żadna wyniosłość tej wielkiej duszy nie pozostała w ukryciu; żeby cała jej rzeźba mistrzowska dała się objąć jednym rzutem oka; żeby wszelki cień służył tylko do podniesienia blasku, jak w każdym arcydziele, które ziemia w swym biegu ukazuje słonecznym promieniom.

Czy szukać jej właśnie przed pięciuset laty na Wawelu, u stóp Chrystusa rozpiętego na krzyżu, w niemej boleści i gorącej modlitwie złamanego serca, gdy „*tak*“ i „*nie*“ wiodły w tajnikach duszy dziewczęcej walkę o śmierć i życie, gdy ten bój straszny, cichy i bezkrwawy, tyle stanowić miał o losach

narodów, co najkrwawsze, najgwarniejsze bitwy, zaścielające kraj cały tysiącami trupów. „*Tak*“ zwyciężyło w boju wielkiej próby; niewieście *ja*, ku szczęściu się pnaće, samo przez siebie złamane i zgnębione — wydało na świat ofiarę cudownej mocy, darzącą szczęściem narody. Ale to była dopiero chwila, w której dziecko przez wielką boleść i wielkie zwycięstwo nagle dojrzało w kobietę; minął dzień próby najcięższej, a rozwarło się całe pasmo doświadczeń, czekające niewiastę; zapisana była zaledwo pierwsza karta w księdze jej żywota.

Wyraźniej, pełniej, wymowniej staje nam przed oczyma cała postać Jadwigi w innej chwili, nie tak znaczącej, ale równie jasnej, gdy już w tej księdze przewracała się ostatnia karta; gdy stroma droga doskonałości, której pierwszy stopień zdobyć przyszło wielką ofiarą, miała się ku końcowi. Niema tam już walki, która, choć uwieczniona zupełnem zwycięstwem, zostawia w duszy jakiś ślad przebytego zamętu, pokonanego rozstroju. Jest ta niewysłowna słodycz spokoju, który walką minioną zdobyty, spogląda na nią z uśmiechem pobłażania, z doskonałem zrozumieniem jej wartości, z dziękczynieniem za siły, których w chwili próby nie brakło; ten spokój — to zadatek zasłużonego wiecznego odpoczynania, którego zasłona już się przed królową odchyła.

Dopiero 28 lat życia jej wówczas minęło, pasmo niedługie, przepołowione właśnie ciężkim dniem próby. Młoda, gasnąca kobieta, staje przed nami znów na Wawelu, nie pod sklepieniami katedry, nie przed ołtarzem Ukrzyżowanego, opodal tego skromnego miejsca, gdzie po niewielu tygodniach spoczęło jej ciało, — ale w komnacie zamkowej, ozłoconej blaskiem czerwcowego słońca. W jego promieniach kąpią się bogate naszyjuiki, dyademy, naramienniki, pierścienie, zapony, wytworne dzieła zamorskich mistrzów, skrzące ogniem drogich kamieni; muska je miłościwie biała ręka królowej, pasie się ich blaskiem omdlewające oko pani. One się tak kochały w tych klejnotach, kobiety średnich wieków, w tych grudkach ziemi świecących żarem, z nieba zapożyczonym. Cały świat symboliki, którego potęgę trudno sobie wystawić, wiązał serce z kamieniem i zniewalał duszę niewieścią do takiego zżycia się z tymi niemymi świadkami jej najskrytszych pra-

gnień, wzruszeń i miśnień, że wyobraźnia w każdym żywszym migocie szmaragdu czy rubinu, odczuwała silniejsze uderzenie serca, bijącego w takt z kamieniem pod kosztowną zaponą. Rozstać się z takim powiernikiem cichych drgnień serca, oddać go na służbę ołtarza, wprawić własną ręką w bogaty ornat czy racyonal, — to była prawdziwa ofiara, jak gdyby przyszło krew swego serca, pod sereem własnem noszoną, od serca kochającego oderwać i Bogu poświęcić na służbę. A chociaż ich dosyć rozdarowała szczodra i pracowita ręka królowej, wspaniałe jeszcze blaski biły od skarbów, roztoczonych przed jej okiem w owym dniu pożegnania. Nie przykuwał do nich już oczów królowej błyszczącej ogień tych marności; właśnie wypowiedziała była te słowa, które się wiernie potomnym czasem zachowały: „Już oddawna wyrzekłam się pychy i próżności tego świata... nie blaskiem przeto pereł i złota pragnę się podobać Ojcu Niebieskiemu,... ale cichością duszy i pokorą.“ Więc w cichości duszy, w pokornem rozmyślaniu, co się będzie Bogu podobać, szukała natchnienia, w czyją służbę oddać tych drogich towarzyszy minionej doli i niedoli, te kosztowne kamienie, które z nią dzieliły pasmo przebrzmiałych marności, cierpień i natchnień...

A nie same tylko własne, osobiste wspomnienia królowej, wiązały się temi bogactwami dziedzicznego skarba: w tęczyowych blaskach tej pysznej rodziny dyamentów, rubinów, ametystów i chryzolitów, mienił się odbłysek chwaly i wspaniałości, opromieniający w pamięci wnuczki majestat rozgłośnego zastępu jej naddziadów. Bo różnemi szlakami schodziły się te kosztowności do szkatulek Andegaweńskiej dziedziczki, wiekami całemi mierząc daleką drogę z zaczarowanej ojezyny wschodnich baśni ku progom Piastowskiego zamku na Wawelu; w długich dziejach martwych kamieni, skupiła się cząstka różnobarwnej historii sławnego rodu, której krew biła tak silnie w tętnicach naszej Jadwigi. Może połowa tych klejnotów była zdobyczą na Saracenach, przywiezioną z trofeami wypraw krzyżowych którego króla arcychrześcijańskiego, Ludwika VII czy Filipa Augusta; może tam kryły się pamiątki rycerskich bojów, jakimi założyciel Andegaweńskiego rodu w młodości swojej zapracowywał na sławę pod znakami brata, świętego króla Ludwika. Na tle

tych zamglonych, podaniem rodzinnem przekazanych wspomnień, żywiej i barwniej występowały w wyobraźni Jadwigi rysy świeżej jeszcze tradycyi, związanej z rozkoszną kolebką pradziada, z Kalabryą i Apulią, z koelankiem bogów, cudnym Neapolem.

Tam panował pradziad króla Ludwika, już nie jako przybysz francuski, ale po ojcu wzięwszy w spuściznie od wrogów obroniony tron Neapolu. Ztamąd przybył nad Dunaj dziad Jadwigi, dobijając się długo dziedzicznej po kądzieli korony św. Szczepana, po którą sięgały zazdrośnie po kolei wszystkie potężne rody okoliczne: Przemysławów, Habsburgów i Wittelsbachów. Ale chociaż pod Karpatami osiadłszy, nie zerwała ta gałąź Andegaweńskiej rodziny złotych węzłów, co ją łączyły z rozkosznym gniazdem. Znać było, że na Wyszehradzie i w Budzie, w Neapolu i w Kapui panowała jedna rodzina. Obie królewskie linie Andegaweńskiego rodu wiązały się ścisłym przymierzem. Świadczą o tem układy o małżeństwo węgierskich królewiczów z dziedziczkami Neapolu, co miały synom Ludwika zapewnić tron dziadów, z wykluczeniem ubocznych linii, które wyposażono lennemi księstwami Kalabrii, Tarentu, Salerno i Durazzo. Tak nawiązał się wątek owej głośniejszej tragedyi XIV stulecia, której bohaterem był stryj Jadwigi; tragedyi, której przewlekły epilog zbliżył jeszcze bardziej węgierską gałąź Andegaweńskiego rodu do jej włoskiej ojczyzny.

Młodszy brat Ludwików, Andrzej, powrócił na tron pra-ojców, wzięwszy go z ręką stryjecznej siostry Joanny, wówczas najpiękniejszego dziewczęcia pod słońcem, w lat parę najslawniejszej zbrodniarki swego stulecia. Między młodą parą — oboje mieli po lat szesnaście — wsączył się jad intryg zepsutej rzeszy Andegaweńskich książąt, zazdrośnych o koronę, która im się z ręki wymknęła; napróżno siłła się zażegnać nieszczęście babka Jadwigi, królowa Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, bawiąc wówczas rok cały pod włoskiem niebem. Niedługo po jej wyjeździe zginął Andrzej ze skrytobójczej ręki; noeną porą, pod pozorem ważnych wiadomości, co nadejść miały z Węgier, wywołano go z sypialni, od boku siedmastoletniej małżonki, która z zabójcami była sprzysiężona; Joanna słyszała jęki męża, gdy go mordercy

dušili w sąsiedniej komnacie, — a w rok niespełna potem, była już żoną księcia Tarentu, Ludwika, drugiego w smutnym poczcie swych czterech mężów.

Tragiczna śmierć Andrzeja wprowadziła dwór węgierski w ścisłą styczność z Neapolem, otwarła szerzej łożysko cywilizacyjnych wpływów, które ztąd przesączały do Węgier, niżby tego mogło być dokonać najdłuższe panowanie Ludwikowego brata na tronie Karola Andegaweńskiego. W ślad za zawikłaniami, które ta śmierć zrodziła, poszły dwie walne wyprawy węgierskiego króla do Neapolu, jego czteroletnie rządy w królestwie zamordowanego brata, wreszcie ów długi, przewlekły proces przed trybunałem awiniońskiej kuryi, który, choć się zakończył ugodą, nie usunął nigdy z planów dynastycznych Ludwika krwawej spuścizny po Joannie. Za lat dziecimnych Jadwigi, gdy żyła jeszcze trzecia królowa, tej najstarszej, Katarzynie, przeznaczony był tron Neapolu. Malkontenci, przybywający z włoskiej dzielnicy Andegaweńczyków, znajdowali na dworze węgierskim życzliwe przyjęcie; w drugim pokoleniu zapomniał nawet Ludwik urazy za krew brata księżętom ubocznych linii i przygarnął do siebie młodego księcia Durazzo, którego królowne węgierskie często musiały oglądać na zamku wyszehradzkim. Słowem, choć o sto mil odległy, choć nie pod tak rozkosznym niebem położony, dwór węgierski żył atmosferą ojczyzstego Neapolu, był jego wiernym echem na północy,

O Ludwiku mówili nasi panowie, że nie mógł znieść polskiego powietrza i corychlej uciekał za góry, ile razy przybył w granice swego drugiego królestwa. Jemu i w Węgrzech było za ponuro; gorąca krew andegaweńska potrzebowała nieba neapolitańskiej zatoki, którem się napawał Wergiliusz, w którym czerpali natchnienia na dworze królowej Joanny Petrarca i Boccacio; u ludzi czynu, jeżeli silna natura nie uległa rozprzegającym wpływom tego nieba, rozbudzały się pod niem bujnie, jak w cieplarnianem powietrzu, wszystkie bogate zasoby serca i umysłu. Tak było i przed wiekami, kiedy Kapua zgubiła kartagińskich żołnierzy, którzy alpejskie śniegi przeszli z tryumfem, ale nie podolała samemu Hannibalowi; takasamą pozostała Kampania i Apulia, mimo zmienionej wierzchniej szaty, i pod rządami andegaweń-



skich władców: grobem słabych, co utonęli w rozkoszy; podniętą siłą żywotnej, która zabójczej pokusie zdołała stać się opór; rajem ziemskim, co go nikt nie używał bezkarnie, bez zwycięskiego przebycia twardej i niebezpiecznej próby.

Kochankiem bogów był ten zakątek ziemi po wszystkie czasy, tych bogów, którym za wszelkie doskonałości starczyło jedno, że w nich szczytu dosięgła piękność, dla zmysłów człowieka dostępną, nie wychodzącą po za granice ludzkiej wyobraźni. Czy im jeszcze palono ofiary w Sybaris i w Krotonie, czy też już w gruzach leżały ich marmurowe świątynie, rozkoszna ziemia, której niedarmo w starożytności dostało się imię Wielkiej Grecyi, była zawsze mistrzynią używania, nie prześcigniętą w sztuce wyssania wszystkich słodyczy piękna, jakie się kryją w naturze, martwej albo żyjącej. Kiedy już nawet wyjałowiała Hellada, kolebka piękna, kiedy świat grecki w snowych karcach bizantynizmu przestał być jej piastunem, ziemię Wielkiej Grecyi najdłużej podobno przechowały tradycję hellenckiego ducha. A gdy już i w ich obrębie poczęła zanikać krynica życia, do czasu tylko mając się z czego w tej tradycyi zasilać, dawny kult Natury znalazł tu nowych orędowników w muzułmańskich przybyszach. Saraceni wnieśli na ruiny Wielkiej Grecyi z bogatą cywilizacją Islamu, nowe zasoby pogańskiej kultury, starożytnej, hellenistycznej, o kształtach tylko odmiennych, bo przetworzonych kapryśnie pod technieniem Wschodu i jego wyobraźni. I tak utworzyła się w tym kraju atmosfera cywilizacyjna, bujna, bogata i rozkoszna, jak Aspazya, przerzucana czarodziejską ręką w siódmy raj Mahometa. Żeby w niej żyć i nie rozplynąć się odrazu w nicieś, na to potrzeba było twardej, jak stal hartowanej natury. Taką miał jeden tylko szczepek, którego skalista ojczyzna w mgłach się kąpała, mdle tylko promienie słoneczne przepuszczających; który w słonej wilgoci mórz, na korsarskich statkach, o chłodzie i o głodzie przywykł przepędzać życie, a rzadko jego powabów kosztując, zaskorupiał panczerem, jakiemu nawet pod tehem Kampanii niełatwo było odtajać. Po Krotończykach i Sybarytach, po Saracenach sycylijskich, Normanowie wzięli w spuściznie południową Italię i rozkrzewili się w ludność, na której jeszcze po dwóch stuleciach, pod panowaniem rodu

Andegaweńskiego, mimo rozprzegających wpływów kampańskiego nieba, znać było twardych synów półnoocy.

Za Normañskich też czasów zabłysło w Kampanii, za Andegaweńskich jaśniało coraz świetniejszym blaskiem, wezsne, a wpływem swoim najpotężniejsze ognisko Odrodzenia: tu dach helleński, drzemiący pod ruinami Wielkiej Grecyi, zbudzony, nauczył się mówić do ludzi nowej epoki. Wiele zlego i wiele dobrego poszło w świat, w kraje półnoocy, z tem balsamicznem tchnieniem neapolitańskiej zatoki; czego więcej, nie tu miejsce i pora rozważać. To tylko pewna, że *natura*, mająca swoje prawa i swoje obowiązki, a zamrożona wybujałością średniowiecznej aseczy, odradzała się pod tem tchnieniem, krzepiąc i rozwijając swe siły, zdolności i zasoby. W historii pokoleń, jak w dziejach jednej osoby, chodziło podobno tylko o to, dokąd miały skierować się te siły, podniecone i spotęgowane: ku złemu czy ku dobremu, służąc sobie samemu, swojemu „*Ja*,“ albo też ofiarując moc swoją, rozwiniętą i zahartowaną — pokornie na służbę Boga. Może nam się to najwyraźniej okaże w dwóch postaciach kobiecych jednej rodziny; u jednej i u drugiej bogactwo natury, rozwinięte bujnie w cieplarnianej atmosferze Andegaweńskiego dworu, wyprowadziło w szranki życia wielką potęgę świeżych sił serca i umysłu. Obie poczęły kosztować życia młodemi dziewczętami; ukazały się na widowni dziejów jak płyty białego marmuru, które zapisać miała historia: jedną płytę zaczerniły losy Joanny Andegaweńskiej, na drugiej jaśnieje imię naszej Jadwigi.

I w Jadwidze znać owo tchnienie potężne, płynące z nad neapolitańskiej zatoki; w naszej królowej łączy się ono jednak z drugim, wypróbowanej mocy, które pierwszemu nie daje w błocie ziemskim zaniknąć, ale je zwraca do góry. Zkądże go zacerpnęło dziewcze Andegaweńskie, czy z tego „polskiego powietrza,“ od którego uciekał król Ludwik. Polskie powietrze sprzyjało może temu drugiemu tchnieniu, ale młoda królowa wniosła je sama do Polski, z sobą i w sobie, w swoim sercu dziewiczym; bo w sercu tem razem z krwią Andegaweńską tętniła krew Jadwigi Lokietkowej, córki błogosławionej Jolanty, i jeszcze jednej Jadwigi, tej, w której wnuczka świętych czeiła swoją patronkę.

Nigdy tak temu boskiemu tehnieniu nie sprzyjało polskie powietrze, jak w sto lat przed Jadwigą i dawniej, w ciągu całego XIII wieku, gdy niem oddychał cały zastęp świętych niewiast w rodzie Piastowskim. Jedne przybyły z obczyzny, z gór alpejskich, albo z za Karpat; drugie pod polskiem niebem ujrzały światłoienne. Za Salomeę, córkę Leszka Białego, wywdzięczył się ród Arpadów Piastom Kingą i Jolantą, dwiema świętymi siostrami; jak znów w góry turyngskie wysłał św. Elżbietę, siostrzenicę św. Jadwigi. Ta patronka naszej królowej, najweześniejsza w poczie świętych niewiast Piastowskich, z domu Merańska księżniczka, była matką siedmiorga dzieci, a gdy je podchowała, na drugą dopiero połowę życia zamknęła się w murach klasztornych; przez wnuczkę swoją Konstancję, księżnę Łęczycką, matkę Łokietka, stała się św. Jadwiga macierzą królewskiej linii Piastów. Król Ludwik zaś, potomek jej po kądzieli, a prawnuk błogosławionej Jolanty, pojął w małżeństwo królową Bośni, Elżbietę, która znów pochodziła od Piastów, bo matka jej rodziła się z drugiego wnuka owej Konstancji Łęczyckiej; tak więc z ojca i z matki zesła się krew patronki w naszej Jadwidze.

Ile błogosławieństwa wniósł do ziem Piastowskich ten poczet świętych księżniczek, ile promieni laski padło od ich jasnyc postaci na cienne strzępy monarchii Bolesławowej, — łatwiej to odezwać, niż dotknąć tej rzezy ostrzem krytyki i analizy. Ale niepotrzeba na to i najslabszego światelka mistyki, żeby zrozumieć jasno, co dał Polsce wiek świętych niewiast, cimmury nazewnętrz wiek XIII, w burze i klęski obfity, a pełen wewnętrznej pracy, żywotnej i błogosławionej, która z surowyc družyn i kup slowiańskich, stworzyła — naród. Dawniej promienie wiary ślizgały się po wierzech twardego materiału społecznego Bolesławowskich czasów, a w ciemnych jego głębiach bujał swobodnie stary przesąd pogański, ledwo zewnętrznie nagięty do prawideł chrześciańskiej nauki; zkądże się miało wziąć to światło, gdy zamknięte było w murach pięciu katedr, słaby tylko blask rzucających na otoczenie najbliższe, i w kilku obronnych opactwach, gdzie służbę Bożą spełniali cudzoziemcy, Benedyktyni, zaprzętnicy nabożeństwem w chórze, z ludem nie mający żadnej stycz-

ności. Dopiero pod okiem św. Jadwigi, Kingi, Jolanty, pracą Iwonów, Pelków, Prandotów, roztajała ta twarda skorupa, przysła niewola ducha i ciała, u góry i u dołu trysnął źródł prawdziwego żywota; z każdej stolicy biskupiej zajaśniał obfity pęk promieni, które już docierały do najodleglejszych osad; po wszystkich dzielnicach rozsmula się gęsta sieć parafialnych kościołów, przy niejednym z nich podraślały szkółki, gdzie zaś na to jeszcze było zawezesnie, tam wszędzie zaglądała ruchliwa rzesza synów św. Franciszka i Dominika, roznoszących słowo Boże w rodzimym, zrozumiałym języku. A chociaż tyle obczyzny napłynęło w tym czasie do Piastowskich dzierżaw, wsiąkla ona szybko w grunt swojski, zorany i użyźniony pracą Kościoła, a ku schyłkowi wieku, nie u książąt już i najcelniejszych rycerzy, ale w coraz szerszem kole społeczności, pod przewodem mądrych biskupów, budzić się poczęło żywe, gorące pragnienie, żeby się dźwignąć z rozbitcia, podnieść ku odbudowaniu utraconej jedności. Bez niego nie byłby dokonał dzieła Łokietek. On sam w latach młodości był typem Piasta z tej szeroko rozrodzonej gawiedzi książęcej, która bezmyślnem życiem z dnia na dzień gubiła rozbitą Polskę; w drugiej połowie życia stał się dopiero innym, przeżywszy próbę ciężkich doświadczeń, czerpiąc siły w miłości i poświęceniu małżonki, która z nim dzielila trudy wygnania, i urosł w wskrzesiciela Królestwa, gdy w nim wybujalość zbójckiego rycerza ukoila modlitwą i wiernością — córka Jolanty.

Od zawieruchy współczesnych wypadków dziejowych stroniły te święte niewiasty; w tym wieku jaskrawych kontrastów, światel i cieni, gwar życia ploszył zdaleka bogobojne dusze. W późniejsze lata przyjmował je klasztor do swych zaciszy; póki im to danem nie było, wprowadzały same według możności klasztor do swoich komnat. Ale przykład ich działał i z po za murów klasztornych i z za bram zamku, który zalegała klasztorna cisza; działał tą magnetyczną potęgą wpływów, jakie zdaleka, niepostrzeżenie i niewidomie wywierca enota. Stawał się wzorem w życiu, w jego trudnościach i walkach, i równocześnie ciągnął za mury klasztorne — tych, co się odwracali od życia. Dopiero w wieku Kingi i Salomei, gdy księżne posiadały w klasztorach, za

częło życie zakonne zbierać dojrzałe kłosy wśród społeczności polskiej i otwarła się dla niej ta wypróbowana szkoła ofiary. W niej zaś zatlily pierwsze iskierki apostołskiego ducha, bez którego trudno było ostać się Polsce, sąsiadującej z pogaństwem i schizmą. Za czasów Bolesławowskich szeregbił się oręż Piastów na twardych karkach pomorskiego pogaństwa, aż Krzywousty, nie mogąc podolać mieczem, z Bambergu musiał zaprosić apostołskich mężów, aby zanieśli światło ewangelii do tej lechickiej ziemi, która, przez obcych nawrócona, nie przyłgnęła do Polski i rychło też odpadła, jak obce ciało. Za synów i wnuków Krzywoustego przyszła pora wojennych zapasów z pogańskimi Prusami; źle wiodło się misionarskiej pracy niemieckich Cystersów, oręż zawodził, więc wnuk Krzywoustego aż po daleką sięgnąć musiał pomoc i przytulił do serca Polski krzyżacką hydrę. Dopiero, gdy Krzyżacy rozpoczęli ogniem i mieczem krwawe dzieło nawracania pogańskiego Wschodu, życie zakonne dzielnie Piastowskich wydało pierwszą drużynę apostołską z krwi słowiańskiej: Jacka, Czesława i ich towarzyszy. Skromna była ich praca na Rusi i Litwie, jak nieznaczne kielkowanie każdego ziarnka gorczycznego. Ale to pewna, że z ich ręki padło to ziarno, które mogło w nieuprawnej ziemi zmarnieć lub urósć; jego dalsze losy zależały od następnych pokoleń.

Święte niewiasty XIII wieku nie byłyby zapewne podolały temu zadaniu. One umiały się modlić, a technienie ich modlitwy mogło nawet z odległości całego stulecia dać wiatr pomyślny żaglom dziejowej nawy; do steru potrzeba było innej ręki, choćby niewieściej, ale silnej, życiem zahartowanej i z krwią gorącą w żyłach. U nich łaska w śnie głębokim pogrążyła naturę; zatopione w rozmowie z Bogiem, nie umiały przemawiać do ludzi; w życiu, wśród rojowiska ludzkiego, niewprawne były działać. Znać to na dziecicach tych świątobliwych niewiast; one umiały w synach i córkach ugruntować pobożność i dać ją jako talizman na burze życia; ale nauczyć szermierki z życiem, zahartować na jego niebezpieczeństwa, to przechodziło siły tych księżniczek w habicie i ztąd też często tak daleko padało jabłko od jabłoni, jak to widziała Jadwiga w dziejach swojej matki i babki. Jej nie brakło tych bujnych sił żywotnych, trudnych

może do poskromienia, tych bogatych zasobów natury, co je wzięła w posagu po rodzie Andegaweńskim. Nikt tak pewno nie znalazł tej duszy, jak uczony spowiednik królowej, mistrz Stanisław ze Skalmierza, wymowny kaznodzieja na jej pogrzebie, pierwszy rektor odrodzonego przez nią Uniwersytetu. Biegły w scholastycznych dystynkcyach, byłby może uznał, że w dziedzictwie duchowym Andegaweńskich przodków tkwiła „*materia*“ tej postaci, a „*forma substantialis*“ — to spuścizna świętej Jadwigi i błogosławionej Jolanty. Oba dziedzictwa spłynęły ściśle w jedną istotę, o bujnej i rozbudzonej naturze, a pełną łaski; utworzyły niewiastę, która, dorównywając może w cnocie swoim prababkom Piastowskim, była od nich zarazem tak różną, jak od kobiet Andegaweńskiej rodziny.

W niezem też do Jadwigi nie podobna jej starsza siostra, węgierska królowa Marya. Życie jej łamie się u samego progu. Wtrącona do więzienia, patrzeć musi na śmierć matki którą zarzynają mściciele zamordowanego księcia Durazzo; grożąc tysiącami losom młodej królowej. Nie padła wówczas pod nożami oprawców; po trzech miesiącach wychodzi z więzienia, aby przez pięć lat jeszcze snuć marne życie, zagoryczone rozczarowaniem, troską i nieszczęściem; prawdziwe wyzwolenie śmierć dopiero przynosi złamanej młodej kobiecie; siedm lat przed zgonem Jadwigi spoczęła już Marya w podziemiach białogrodzkiego grobowca. W krótkim pamięci dni swoich, sroższej, niż siostra, doznała zawiści losu; czy cierpiała tyle, co Jadwiga, żadnej z nich nie było wiadomo; tylko, że jej cierpienie żadnego nie dało plonu; życie jej poszło na marne, pełne boleści, pozbawione ofiary, nikomu nie dało szczęścia.

Inne były cierpienia Jadwigi; niema w nich tyle grozy, nie rodzi ich prześladowcza zaciekłość, nie zabawia krew tryskająca obficie w dziejach starszej Ludwikowej córki. Krwi w nich nie dojrzeć, chyba, że krwawi się w walce z sobą samym jedno serce niewieście; w jego głębokiej otchłani zamyka się cała prawie historia najslawniejszej polskiej królowej.

Czy nam wolno wdzierać się w te tajemnice? czy nie będzie to zuchwałością, przy niepewnym błysku skąpych świadectw współczesnych, słabym okiem badawczym sięgać

w kryjówce duszy, którą od półtysiąca lat opromienia światłość wiekuista? Czy godzi się w ogóle wkraczać w tę niebezpieczną dziedzinę, gdzie może nauka nie ma dosyć wypróbowanych środków, aby uchronić rzecz od skrzywienia, jakiego dopuścić się gotowa samowola wyobraźni, tej władzy kapryśnej i nieobliczonej, a nie trzymanej tu na wodzy surowych prawideł nauki?

Cóż, kiedy domaga się tego rzecz sama. Pięciowiekowa rocznica staje przed nami, puka do sumień i każe rozpamiętywać wielkie zdarzenie dziejowe, które było dziełem Jadwigi. Nie ona sama wprawdzie go dokonała; wicki przed nią pracowały nad przygotowaniem dzieła, a cały zastęp ludzi żelaznego serca czynnie doń rękę przykladał, wbrew pragnieniom królowej. Oni jednak, w swoim działaniu roztunem i zaenem, wszystko mieli do zyskania, nie nie dawali; Jadwiga, dla dokonania rzeczy, miała dać jedno tylko, jedyne słowo: „*Tak.*“ Ale w tem słowie składała wszystko, co ją z życiem wiązało, a słowu temu, jemu jednemu, dana była ta moc twórcza, aby w ciało ulepione przez pracę wieków — tchnąć ducha. Tak zaś najpamiętniejszy fakt naszych dziejów ma dwojaką historję. Jedna, długa i rozgłośna, toczy się na szerokiej widowni całego Wschodu Europy i skupia zwolna różnorodne, ścierające się ze sobą czynniki ku wielkiemu dziełu zjednoczenia; druga historia, krótka i tajemnicza, zamknięta jest w głębiach jednej duszy niewieściej, a z nich wydobywa się ostateczne: *Fiat!*

Zacznijmy od tej drugiej; prostsza ona i zrozumialsza.

---

Królową miała być nasza Jadwiga, odkąd się znalazła w kolebce, ale królową tych ziem przestronnych i bogatych, w których światło dzienne ujrziała. Przeznaczona na panią Węgier, za życia ojca musiała już do tej myśli przywyknąć, że będzie dźwigać świetną koronę św. Szezepana; za Karpaty, do Polski, rzadko sięgała dziecianną wyobraźnią, chyba, gdy w zabawach ze starszą siostrą dziewczęta sobie roily, jak to będą kiedyś blyszczeć i rozkazywać w dwóch sąsiednich Królestwach. Zerwały się te marzenia po śmierci ojca,

gdy Jadwidze zaczął się rok dwunasty. Pauowie węgiersey wynieśli starszą królowę na tron Arpadów, a w Polsce, chociaż w domowej wojnie krwawiły się dwa stromietwa, oba walczyły pod jednym hasłem królowej Maryi. Przez pół roku ani jedna ani druga korona Jadwidze się nie patrzyła, dopiero w marcu 1383 roku zwołnila królowa-matka polskich panów od przysięgi, którą względem Maryi byli związani, i i przeznaczyła młodszą córkę na tron Kazimierza Wielkiego, przyrzekając ją przysłać do Polski za trzy lata, gdy dojdzie do poważnego wieku — całych lat piętnasta. Ale Polakom tęskno było za młodą panią, tylko jej przyjazd mógł położyć koniec zawieruchom wojennym, o tak dalekim zatem terminie nie chcieli słyszeć. Po trzykroć odkładano dzień przybycia Jadwigi, aż poddanych młodej królowej taka brała już niecierpliwość, że o innym panu poczęli myśleć. Co prawda, trudno się dziwić Elżbiecie, że nie było jej spieszno z wysłaniem niedorosłej dziewczyny w obcy kraj, do rządzenia niełatwy, targany krwawą zamieszką. Że wreszcie uledez musiała, wyszło to córce podobno tylko na dobre; dosyć jej było tych lat trzynastu, przebytych na dworze Andegaweńskim; wrażliwy umysł i miękkie serce dziewięcioletnia miała aż nadto czasu, aby przyswoić sobie wszystko, co tam znaleźć mogła dobrego, co w nią na całe życie wlało tajemniczy elixir bujnych sił włoskiej natury. Gdyby dłużej odwlokł się był jej wyjazd od matki i siostry, kto wie, czyby się nie nazbierało za dużo tych wpływów, które mogły działać za silnie w wieku sentymentalnych marzeń, wyciskając już trwalsze piętno na sercu, temperamencie i umyśle dojrzewającej dziewczey.

W samym dniu swojej patronki, roku 1384, przywdziała Jadwiga koronę Bolesławów w katedrze na Wawelu. Jakie myśli mogły w tej uroczystej chwili bujać w głowie trzynastoletniej królowej? Trudno w nich szukać wielkiej powagi i namaszczenia. Dziedziczka Andegaweńska, starannie ukształcona, niejedno czytała w komnatach Budzińskiego zamku, patrząc na srebrną wstęgę rozkosznego Dunaju; ale że między temi książkami nie było pewno scholastycznego traktatu *de regimine principum*, w którym przed stu laty głęboki *Doctor Angelicus* wytknął monarchom stromą drogę ich świę-



tych obowiązków, — o tem niema powodu wątpić. Łatwiej się tam wśliznęła w białe rączki królowy jaka ponętna „książka kusicielka,“ przysłana z Neapolu, gdzie Boccaccio i pokrewna mu plejada nowellistów rozkosznemi opowieściami bawiła królową Joannę; Dante to tak nazywa tę modną a szeroko rozgałęzioną lekturę owych czasów, codzienną strawę duchową plei pięknej na włoskich dworach. Nie trzeba znów myśleć, żeby dużo jadowitego osadu musiało zawsze zostawać z takich książek, które więcej wyobraźnię mogły rozbudzić, niżli dotrzeć do głębin dziewiczego serca. Ale jedno pozostaje zwykle na długo, jeżeli nie na zawsze, jako moralna nanka, z takiego czytania wypływająca, i wraża się w młodym umyśle czasem tak silnie, że całemu życiu z łatwością wytknie kierunek. Pozostaje pojęcie życia, jako stołu zastawionego nektarem i ambrozyą; dary te stoją otworem, a cała sztuka życia na tem polega, aby ich spożyć jak najwięcej i wysać z nich jak najwięcej słodyczy. I Jadwidze w dniu koronacyi nie inaczej musiało się życie przedstawiać: przed wyobraźnią *królowej* jaśniała najobfitsza zastawa; nie w niej nie brakowało, na co się zdobyć może najbujniejsza fantazyja. Nie brakowało i towarzysza do tej biesiady, bez którego byłoby smutno, bo w samotności, nie po nektarze blasku, sławy i swobody w dogadzaniu wszelkim zachciankom. Niedługo przecież miała czekać na to młoda królowa, żeby ujrzeć przy swoim boku, w strojnych komnatach Wawelu, swojego oblubieńca, ten młodociany wzór wszelkich doskonałości rycerskich, księcia Wilhelma, który przecież niedarmo w krótkim swoim zawodzie dziejowym zdobył sobie aż trzy przydomki: „Grzecznego,“ „Wytwornego,“ „Żadnego Sławy.“

Miała tu stanąć przed nim i oddać mu dwa klejnoty, jakich razem nikt drugi nie mógł posiadać na świecie: siebie samą i to swoje Królestwo, jak ona piękne i jak ona młode. Nie tajna jej była pewno cena obojga. Jeśli w dalekich Włoszech, w tej ojczyźnie urody, głośno ludzie mówili, że „wszystkie strony świata pełne są chwały piękności polskiej królowej,“ to jej samej musiały także coś podobnego szeptać zwierciadlane tafle gładko szlifowanego srebra. A to królestwo, w którego progi wstąpiła, ku rodzinnym tylko stronom swej pani zdawało się mieć granice, polyskujące w słońcu jesien-

nem śnieżnemi wierchami Tatrów; gdzie spojrzeć w inne strony, w północ, czy ku wschodowi, tam wszędzie równia bez końca, pagórkami pofalowana, jakby kresów tego panowania nie było, rozciągała się przed okiem Jadwigi. Nie równać się z tem państwem ciasnym dzierżawom Wilhelmuwego ojca i stryja, w których trzem jego braćmi rodzonym i stryjecznemu nie było eżem się obdzielić. Tutaj mu będzie przestronno, jest tu gdzie bujać wytworności rycerskiej; tu żądza sławy znajdzie sobie szerokie pole. W tych świątyniach, co takim lasem wieżyc dokola Wawelskiej góry strzelają ku niebiosom, z tysiąca pobożnych piersi będą się wzbijać codzień modlitwy o szczęście dla młodej pary. Ta bujna ziemia, jak ją daleko objąć okiem z baszt królewskiego zamku, to jeden róg obfitości, z którego dla królowej i jej oblubieńca sypać się będzie wszystko, czego zapagną. A to rycerstwo w strojnych rynsztunkach, co się zbiegło pod sklepienia katedry na koronację, od tego jest przeciw rycerstwem, aby się ścigać w zawody, kto chwalebniej obojgu się zasłuży, kto im w życiu przysporzy więcej radości, zaszczytu, chwaly. Na tej ziemi, co się tuli do stóp Wawelu, z tym ludem, którego rzewna pieśń przygrywała marzeniom królowej, kłęczącej u stopni ołtarza — cała przeszłość, eżemże być miała w jej oczach, jeżeli nie jednym pasmem chwil szczęścia i spokoju, gubiącym się gdzieś we mgle, gdzie trzynastoletnie dziewczę myślą nie sięga.

Jaką była ta miłość młodocianej królowej ku rycerskiemu rówieśnikowi, to nie tak trudno sobie wystawić z odległości pięćciu stuleci, jakby się może zdawało. Dosyć wskazówek daje samo tło wieku, a cały szereg stwierdzonych faktów, w świetle tego tła ustawionych, czyni rzecz weale jasną. Od rozpoznania jej nie wolno się zaś uchylać, jeśli należy sumiennie, trzeźwo i sprawiedliwie zmierzyć całą moralną doniosłość i wartość największego czynu w życiu Jadwigi.

Jest w psychologii tego uczucia romantyczny powiew czasów Romea i Julii, jest z pewnością ta zapalność młodocianej duszy, co ogarnia dwie istoty, budzące się do życia pod tehem wzajemnego upodobania, a obraca je łatwo w popiół, jeśli los między nimi stawi zaporę; jest tam ten właśnie odcień miłości, stary podobno jak świat i wiecznie

młody, a w świecie rycerskim bujnie wypielegnowany obyczajami wieku, natelnieniem minstrelów i trubadurów, sztuką mistrzów dluta i pędzla. Ale ten odeciń nie wypełnia sam różnobarwnej historii tych dwojga serc. Jest w nim jeszcze coś więcej, co uczuciowi Jadwigi nadaje powagę i poziom etyczny, podnoszący je wysoko po nad codzienność romantycznego rozmarzenia piętnastoletniej dziewczyny.

Trzeba pamiętać o uroczystym akcie hainburskim, który się odbył d. 15 czerwea r. 1378, gdy Jadwiga i Wilhelm przekroczyli dopiero siódmy rok życia. Prymas węgierski związał ich wówczas stulą przed ołtarzem. Niedarmo czekali na tę chwilę rodzice, aż jedno i drugie dziecko skończy całych lat siedem, bo przedtem nie można było odbyć *zaręczyn*, któreby miały wartość wobec Kościoła. Przed tym dniem wszelkie układy względem przyszłego małżeństwa dzieci, miały tylko znaczenie chwytanych umów politycznych, które dziś utrwalone na pergaminie, jutro mogły zachować tyle wartości, co strzępy zdartego dyplomu. Inna rzecz z aktem hainburskim. *Sponsalia de futuro* — bo niezem innem on nie był — wkraçały w sakramentalną dziedzinę, a chociaż nie stanowiły jeszcze sakramentu, potrzeba było do niego tylko jednego warunku, żeby oblubieńcy zamieszkali wspólnie po ukończeniu dwunastu lat życia, dokonywając małżeństwa *secundum justitiam et consuetudinem sacri conjugii*. Drugiego, dopełniającego aktu kościelnego nie wymagały ówczesne prawa kanoniczne; to też młodociana para hainburska wzrastala w przeświadczeniu, że jest sobie uroczyście zaślubioną, tem bardziej, skoro w umowach między rodzicami zastrzeżone było ściśle i dokładnie, jako wspólne zamieszkanie oblubieńców ma bez odwołki nastąpić, gdy Jadwiga dojdzie lat dwunastu. Kiedy ta chwila jednak nadeszła, nie żył już od roku król Ludwik i cała sprawa dlatego może głównie poszła w odwołkę, że dawnej dziedzicze Węgier inny tron w owej chwili był już wyznaczony. Ale wartości aktu kościelnego nie to nie uwłaczało, a Jadwiga, stanawszy na Zanku krakowskim, nie mogła marzyć sobie innej przyszłości, jak przy boku swojego oblubieńca z Hainburga.

Cóż więc telnęło tyle poczui, do tego — zdawałoby się — taką zimną prozą wytworzonego stosunku, który rachuba

polityczna ukula na swoim warsztacie, a przezorność zaopatrzyła zawczasu kanonicznem piętnem u stopni hainburskiego ołtarza. Stało się tutaj to samo, co nieraz się przytrafia ludzkim rachubom: w ogniu rzeczywistości z dymem poszedł cel polityczny, przyświecający hainburskiemu aktowi, a z surowej rudy prozaicznych rachub, wypalił się szlachetny i jak stał twardy kruszec miłości, o którą w starannie zabezpieczonych układach najmniej chodziło.

Sprzyjała temu tehnienu andegaweńska krew oblubienicy, dodawał mu podniety dwór króla Ludwika. Dziewczęce marzenia, które niejedna „książka kusicielka“ budziła w wyobraźni Jadwigi, nie mogły bujać po niezmiierzonych przestrzeniach, ale rade nierade, znajdowały stały punkt oparcia — w *jednym* rycerzu i bohaterze, w pacholecin hainburskiem. Rodzice Wilhelma i Jadwigi na kilka zawodów wymieniali sobie zaręczoną dźwiatwę, aby nadać zawartym układom wszelkie rękojmie pewności; gdy Wilhelm przybywał do Budy lub Wyszehradu, Jadwigę wysyłano na dwór rakuski, aby się oswoili z odrębnymi obyczajami, które w przyszłem ich położeniu małżeńskiem miały się zgodnie dostroić. Widywali się zatem dość rzadko; dość, jak na swój wiek, aby spostrzegać w sobie wzajemne, za każdym razem duże odmiany; a nie tak znowu często, żeby się mogły dzieci zanadto blisko poznać, żeby jedno w drugim nie nowego za przyszłem spotkaniem nie miało do odkrycia. Co najważniejsza może, to, że w przededniu krytycznej chwili, gdy już Jadwidze szło na rok dwunasty — że właśnie wówczas ustaly na czas dłuższy te ciągle przejażdżki modrym Dunajem pomiędzy obydwoma dworami. Gdy wszystko się na to składało: wiek, pora, miejsce i żółty nawet pergamin, żeby dziewczęce serce Jadwigi wezbrało roztopem romantycznych marzeń, właśnie w tym czasie nastala długa rozłąka oblubieńców, tem żywiej przemawiająca do wyobraźni, im mniej do niej byli przyzwyczajeni.

O jednym tu zwłaszcza nie trzeba zapominać. Uczucie każde, a szczególnie takie, choćby miało samo z siebie najbujniejszą żywotność, modelowało się, w owych czasach bardziej niż kiedykolwiek, pod wpływem ideału, wypieszczonego w romantyzmie rycerskiej poezyi. Ona zaś nie zna miłości bez

przeszkód, bo nie zna także rycerza, któryby inną, jak stromą drogą przygód zdobywał sobie chwałę. Nie więc nie mogło tlejącego uczucia tak silnie rozplomienić, jak każda — w tym czasie zwłaszcza — przeszkoda, choćby nawet niegroźna, każda odwołka, chociaż niedługa. Zresztą oblubienica hainburska była czemś więcej, niż rozkochaną dziewczyną. Co dla damy, rozpamiętującej dzieje wiernej Blancheffour albo stałej Izoldy, było szczytem niewieściej doskonałości, opromienionej blaskiem romantycznej fantazyi, to u narzeczonej, którą stula związała z Wilhelmem, nabierało powagi i namaszczenia świętości. Między złocistą strunę serea a żelazne prawo obowiązku, często wkrada się zgrzyt rozstroju; ale gdzie się to zdarzy, że jedno z drugim w niezłamanej harmonii dorzuca głos swój do tegosamego hymnu, tam ze zgodnego rytmu obu dźwięków rodzi się akord potężny, niebios dosiegający, który niedziw, że wszystkie siły duszy ma na swoje usługi.

Miłość Jadwigi przeżyła pierwszą próbę wśród niepewności, wypełniającej całe dwa lata po śmierci króla Ludwika. Nowe, coraz to cięższe próby, czekały ją na Zamku krakowskim. Przybywszy w jego progi, rychło musiała spostrzedz, że w oczach owych panów świeckich i duchownych, którzy się zgromadzili na koronację, zaślubiny hainburskie nie miały wielkiej wagi. Szeptali coś o dwóch Piastach; jedni o Opoleszku, starym przyjacielu króla Ludwika, co z wieku sam mógł Jadwidze być ojcem; drudzy znów o tym młodym księciu mazowieckim, któremu rycerskiej fantazyi chyba nie brakło, skoro niedawno, w oczekiwaniu przyjazdu królowej, gotował śmiałą zasadzkę w pogranicznych wąwozach, aby bez zapytania cudzej oblubienicy, jednym zamachem porwać jej piękną rękę i koronę swych przodków. Wszystko, jak w najciekawszym rycerskim romansie. Między rozkochaną parę, którą los zawistny rozłączył, weiska się dwóch rywali: jeden z nich stary cheiwiec, chytry i przebiegły, drugi — junak, gwałtownik, co na królową poluje jak na lanię w ostępie, prostak, nie umiejący chyba zdobywać serea rycerską sztuką. Jednego tylko jeszcze nie dostawało, z czem wprawdzie damy rycerskiego Zachodu nie miały sposobności spotykać się w życiu, co zato jednak musiało budzić tem więcej zajęcie w każdym efektownym romansie. Odkąd bowiem

zawód rycerski nabrał w krucyatach tyle namaszczenia religijnego, odkąd ideal jego zrosł się z pojęciem obrońcy krzyża i ołtarzy, fantazyja poetyczna stworzyła antytezę wszelkich doskonałości rycerskich, w postaci pogańskiego mocarza, którego typ surowy i odrażający, powtarza się tak często w ówczesnych romansach i stanowi obfite źródło tylu jaskrawych efektów, tylu zawikłań, utrzymujących w naprężeniu ciekawość nadobnej czytelniczki. Cóż dopiero, jeżeli takiemu potworowi dostanie się w udziale rola szczęśliwego współzawodnika, który wyrwa rozkochaną damę z objęć jej oblubieńca, jaśniejącego blaskiem wszelkich doskonałości rycerskich. W wieku XIV, łatwiejsza to rzecz do napotkania w romansie, niżli w rzeczywistości. Tutaj, najefektowniejszy motyw poetycznych mrożeń, wcielił się w rzeczywistość; nieszcześliwa, wylekła bohaterka tego dziejowego romansu, nie raz pewnie zbudzona ze snu, nie mogła się opamiętać, czy to okropna zmora, przyniatająca piersi po późnem w noc czytaniu, czy też prawda, surowa i na jawie stojąca przed oczyma, którą jeden sen tylko może na chwilę spędzić z widoku.

Mniejsza tu o to, kto ten motyw wplątał w romans Jadwigi; w historii pytanie to ważne, obojętne w dziejach jej serca. Dość, że w trzy miesiące zaledwie po swem przybyciu, ujrzała na Zamku krakowskim posłów Jagielly, że cały orszak panów duchownych i świeckich, których miała przy sobie, służył za swatów pogańskiemu księciu. Ona z ufnością stanęła w ich gronie, wdzięczna za tyle wierności, którą się zasłużyli córce Ludwika, broniąc wytrwale jej praw do polskiej korony. Zawiedziona i opuszczona, czterastoletnia dziewczyna, uczuła dopiero boleśnie, czem jest samotność wśród gwaru i zbiegowiska ludzi. Kilka tygodni ledwie minęło, jak ją los oderwał od matki. Do niej nie pora uciekać, ale wysłać do niej dziewosłębów pogańskich; niech jej opieka, miłość i doświadczenie zasłoni bezradną córkę. Któż miał stać na straży hainburskich przysięg, jeśli nie królowa-matka, jeśli nie żona króla Ludwika, który związek Jadwigi z Wilhelmem w marzeniach swoich wypieścił, słowem monarszem utwierdził, ubezpieczył przed Bogiem i ludźmi.

## SPIS RZECZY.

---

- W pięciowiekową rocznicę, str. 1.
- Rozdział I. Jadwiga, str. 3. Królowa Jadwiga nad klejnotami, str. 4. Pochodzenie Jadwigi, str. 5. Ród Andegaweński, str. 6. Neapol i jego związki z dworem węgierskim, str. 7. Wczesny prąd Odrodzenia, str. 9. Krew Piastowska str. 10. Niewiasty Piastowskiego rodu, str. 11. Synteza Andegaweńskiej i Piastowskiej spuścizny, str. 13. Jadwiga wobec unii, str. 14. Dziecinne lata Jadwigi, str. 14. W dniu koronacji, str. 16. Miłość Jadwigi, str. 17. Akt hamburski, str. 18. Jadwiga i Wilhelm, str. 19. Dziewosłoby Jagielly, str. 21. Wilhelm w Krakowie, str. 23. Wilia św. Bartłomieja, str. 28. Wilhelm w ukryciu, str. 32. Przesilenie, str. 34. Ofiara, str. 35. Królowa Jadwiga po roku 1386, str. 35—40.
- Rozdział II. Jadwiga i unia, str. 41. Dzieje unii, str. 43. Polska Piastowska, str. 45. Naród i kraj, str. 46. Polska i Ruś w początkach swych dziejów, str. 48. Zabory Włodzimierza W. w Chrobaeyi, str. 51. Wschodnia Chrobaeya, str. 52. Stanowisko Ruśi Czerwonej w dziejach stosunku Polski do Rusi, str. 53. Polska i Chrobaeya, str. 54. W epoce dziejnie książęcych, str. 55. Dążenia wielkopolskie ku ujściom Odry, małopolskie nad Dniestr, str. 55—59. Lokietek, str. 60. Kazimierz Wielki, str. 62. Wzory Andegaweńskie, str. 63. Polityka ekonomiczna, str. 65. Handel czarnomorski, Wenecya i Genua, str. 66. Węgry i Wenecya w walce o Dalmacya, str. 67. Widnokrąg polityczny Kazimierza W., str. 69. Zwrot ku Wschodowi, str. 70. Za-

bór Rusi Czerwonej, str. 72. Zamysły względem Podola, str. 74. Kazimierz Wielki na Rusi, str. 76.

Rozdział III. Ludwik Węgierski, str. 78. Dynastyczność XIV wieku, str. 79. Plany dynastyczne Ludwika, str. 81. Wilhelm Rakuski i Zygmunt Luxemburczyk, str. 82. Plan unii z Brandenburgią, str. 83. Stronnictwo matowieckie, str. 85. Polityka Małopolan, str. 86. Regnum Russiae, str. 87. Opolezyk na Rusi, str. 88. Zamiary Ludwika względem Rusi, str. 90. Niebezpieczeństwo utraty Rusi, str. 91. Zamachy Litwy, str. 92. Stanowisko Małopolan, str. 93. Powołanie Jagielly, str. 94. Stanowisko Rusi Czerwonej w dziejach Polski i Rusi, str. 94—96. Państwo litewskie w wieku XIV, str. 96. Litwa, str. 97. Zabory litewskie na Rusi, str. 98. Początek i charakter władzy książęcej na Rusi, str. 99. Ruskie dzielnice litewskiego państwa, str. 100. Program Olgierda, str. 101. Chrześcijaństwo na Litwie, str. 102. Czy Olgierd był chrześcianinem? str. 105. Litwa na przełomie, str. 106. Suzdalszczyzna, Moskwa, jej stanowisko wobec Rusi, str. 107—111. Cerkiew moskiewska i cerkiew ruska, str. 112. Świat starolitewski i litewko-ruski, str. 113. Pierwsze lata Jagielly, str. 114. Zwrot, chrzest Jagielly w Krakowie, str. 115. Znaczenie roku 1386, str. 117—120.

Przypiski, str. 121—142.

